

Polacy, gdzie wtedy byliście

Ogół szlachty zadowolony był ze stanu państwa i traktował króla jak wielkiego męża stanu



Ogół szlachty zadowolony był ze stanu państwa i traktował króla jak wielkiego męża stanu *Tekst ukazał się w numerze Frondy*

Jak to szczęśliwie Polak żył pod Augustami!

Jakie to dwory, jakie trybunały huczne!

Co za paradne sejmy, jakie wojsko juczne!

Człek jadł, pił, nic nie robił i suto w kieszeni!

Julian Ursyn Niemcewicz, Powrót posła

Kiedy czytamy relacje świadków epoki saskiej i konfrontujemy je z późniejszymi opiniami historyków na temat tych czasów – uderzać musi przepaść ocen, jaka ziele między tymi dwoma opisami. Tak jakby chodziło o dwa różne okresy albo dwa różne państwa. Z osiemnastowiecznych pamiętników i raptularzy wyłania się obraz Rzeczypospolitej jako szczęśliwego kraju, swoistej „zielonej wyspy” na mapie kontynentu, gdzie panował święty spokój, a jej mieszkańcy mogli spokojnie oddawać się temu, co dziś nazwano by „grillowaniem”, a co streszczało się w popularnym powiedzeniu „za króla Sasa jedz, pij i popuszczaj pasa”. W tym duchu opisywali swoje czasy najwybitniejsi pamiętnikarze XVIII wieku, tacy jak Jędrzej Kitowicz czy Adam Moszczeński. Takie wrażenie pozostaje także po lekturze dzieł ówczesnego polskiego „encyklopedysty” Benedykta Chmielowskiego.

Jakże mocno kontrastuje z tym opinia dziewiętnasto- i dwudziestowiecznych historyków, którzy nie zostawili na epoce saskiej suchej nitki. Jak pisze Aleksander Bocheński, okres panowania w Warszawie królów z Saksonii to „dno upadku Polski pod względem moralnym, administracyjnym, skarbowym, wojskowym i politycznym”, a jego opinię podziela zdecydowana większość badaczy dziejów Rzeczypospolitej.

Porównajmy teraz surową ocenę czasów saskich z opisem, jaki pozostawił po sobie jeden z ówczesnych magnatów polskich:

Rok 1711. Ten rok szczęśliwie i w pokoju bez żadnej w domu odprawiłem turbacji; z carem jmciał poznałem się i pozyskałem łaskę u niego, z wojsk carskich hetmanem Szeremetem, który osobliwszym sposobem stawił mi się przyjacielem, i z inszymi generałami. Pod faworem tedy i tych a mianowicie cara, gospodarowałem sobie spokojnie przy boskim błogosławieństwie i obfitości wszystkiego.

I pomyśleć, że był to rok, gdy w Polsce nie tylko grasowały wojska szwedzkie, saskie i rosyjskie, lecz także szalała zaraza, która zabrała jedną trzecią ludności Rzeczypospolitej.

August II Mocny, mistrz politycznego PR

Epoka saska trwała sześćdziesiąt sześć lat. Zapoczątkowało ją wstąpienie na tron polski Augusta II Mocnego z dynastii Wettynów. Jeśli chodzi o ocenę tego władcy, wśród polskich historyków panuje w tej sprawie wyjątkowa zgodność. Józef Szujski nazywał go „najbezsławniejszym szarlatanem w historii”. Władysław Konopczyński pisał o nim, że „nie znał skrupułów ni skruchy. Zło, dobro, grzech, cnota chrześcijańska, niewiele znaczyły dla jego hedonistycznej, immoralnej duszy”. Szymon Askenazy twierdził zaś, że jedynym prawdziwym wyznaniem króla było to, jakie uczynił na łożu śmierci, gdy powiedział, że jego życie było „jednym nieprzerwanym grzechem”.

Współczesna Augustowi polska szlachta nie rozpoznałaby zapewne w tym portrecie swojego króla. Z ówczesnych raptularzy i pamiętników wyziera zupełnie inny wizerunek. Władca imponuje braci szlacheckiej swą siłą i fantazją, dzięki którym mógł w Madrycie podczas corridy walczyć gołymi rękami z bykiem („atleta, myśliwiec, tancerz, automedon, w ogóle sportsmen zawołany”, tak kreśli jego obraz w oczach współczesnych Władysław Konopczyński). Olśniewa ich przepychem dworu i wystawnymi ucztami. Urokiem osobistym potrafi oczarować rozmówców.

Jako pierwszy, jak słać Augusta, ton nadał marszałek sejmu Krzysztof Zawisza, który w mowie powitalnej z okazji koronacji w roku 1697 nazwał Sasa największym władcą w dziejach Polski. Do dziś jego przemówienie stanowi niedościgniony przykład wazelinarstwa: „W Tobie Lecha fortuna, dzielność Wizymira, powaga Krakusa, szcudroblliwość Piasta, Leszków trzech do wojen ochota, Miecysława bogobojność, Bolesława Chrobrego męstwo i siła, Bolesława Śmiałego wspaniałość, Kazimierzów dwóch pobożność i sprawiedliwość – albo równo, albo lepiej i bardziej skoncentrowane (...) Natura i przypadek, że w Bolesławie Krzywoustym, Leszku Czarnym, Władysławie Łokietku zgrzeszyły, Tyś urodą wspaniałą, majestatem i układną naprawił symetrią (...) Ale po cóż dłużej Twoje dzieła i Jego pańską godność przeciągłymi wyliczać słowy? Rzekłem, że je adorować bardziej milczenia powagą, aniżeli nieudolną mową należy: błędzi ten, kto przymioty Twe wylicza, nie uwielbia!”.

Mocną stroną Augusta II było to, co dziś nazwalibyśmy „politycznym PR-em”. Nad tym pracowali najbardziej zaufani ministrowie króla: Wolf Dietrich von Beichling, Jakub Henryk Flemming i Ernest Krzysztof

Manteuffel (przy Augustacie III podobną rolę odgrywał będzie Henryk von Brühl). Przekupywali oni magnatów, by ci popierali Wettynów. Wydawali druki ulotne, by zmieniać nastawienie braci szlacheckiej na prosaskie. Wreszcie odwracali uwagę opinii publicznej od spraw istotnych, by koncentrować ją na błahostkach. W tym sensie byli pojętnymi uczniami klasyków socjotechniki: „Wszak to Alcybiades kazał psu obciąć ogon, iżby w ten sposób mieli o czym mówić Ateńczycy i odwrócili uwagę swoją od rzeczy, które on pragnął ukryć przed nimi”.

To właśnie królewscy ministrowie odwalali za króla całą niewdzięczną robotę związaną z rządem. August nie był bowiem zbyt pracowity, wolał spędzać czas na polowaniach, hulankach i rozrywkach, a codzienne zarządzanie powierzał swoim ministrom.

Tuż przed swoją elekcją August zdecydował się przejść na katolicyzm. Wiedział, że taka decyzja zwiększa jego szansę na polską koronę, gdyż większość szlachty nie zaakceptowałaby protestanta na tronie w Warszawie. Został więc katolikiem, ale religię do końca życia traktował instrumentalnie.

Wychowany w niemieckiej tradycji, odczuwał polskość jako coś obcego, jak ciężkie brzemie, które musiał znosić. Józef Szujski pisał o nim, że „nienawidząc w gruncie rzeczy duszy Polski i Polaków, uważał Polskę za *anima vilis* (tanią duszę), na której się niebezpieczne robią doświadczenia”. Jak opisywał go Feliks Koneczny:

Król ten pozbawiony był wszelkiego poczucia moralnego, a względem Polski nie poczuwał się do żadnych obowiązków i chodziło mu tylko o wzmożenie potęgi dynastycznej własnego domu kosztem Polski.

August II marzył o koronie cesarza, a tron Polski traktował jedynie jako odskocznię od ogólnoeuropejskiej kariery. Jak zauważał Michał Bobrzyński, władca ten lubił porównywać się do Ludwika XIV, francuskiego „Króla-Słońce”, i pragnął taką samą rolę odegrać na wschodzie Europy. Nadwornicy propagandyści robili zresztą wszystko, by taki wizerunek władcy rozpowszechnić wśród szlachty.

Nic więc dziwnego, że August II lubował się w uczestniczeniu w organizowanych z wielką pompą spotkaniach przywódców państw Europy. Dzięki tym międzypaństwowym szczytom pragnął uchodzić za jednego z europejskich mężów stanu – na równi z rosyjskim carem Piotrem I czy królami pruskimi Fryderykiem I i Fryderykiem Wilhelmem I. Władcy ci poklepywali go po plecach i nazywali „naszym drogim przyjacielem”, ale spotkania wykorzystywali do narzucania królowi Polski swoich warunków. Forsowanie dyktatu mocarstw następowało więc skryte za pozorami europejskiej solidarności.

Panowanie Augusta II Mocnego oznaczało „nowe otwarcie” w stosunkach z Rosją. Do tej pory carowie uważani byli za wrogów, gdyż rościli sobie prawa do wschodnich terytoriów Rzeczypospolitej, zwłaszcza zaś do ziem ruskich Wielkiego Księstwa Litewskiego. Gdy w 1667 roku Polacy zawierali z Rosjanami rozejm andruszowski, byli przekonani, że to tylko czasowe zawieszenie broni, gdyż wcześniej czy

później będzie musiało dojść do konfrontacji. Tymczasem wkrótce po swej elekcji August II ogłosił, że od tej pory otwiera się nowy rozdział w naszych stosunkach i Rosja jest sojusznikiem Polski.

Jak zauważył Władysław Konopczyński, korzyści z owego przymierza wyciągała wyłącznie strona rosyjska, która prowadziła ekspansję kosztem Rzeczypospolitej, zaś strona polska ponosiła z tego tytułu same straty. Panowanie Wettyna naznaczone było wieloma ustępstwami nie tylko wobec cara, lecz także wobec Prus. Jednym z takich kroków była – wbrew polskiej racji stanu – zgoda Augusta na koronację w 1701 roku króla Prus Fryderyka I. Ten akt oznaczał ostateczne zerwanie jakiegokolwiek zwierzchności bądź praw Rzeczypospolitej do Prus Książęcych jako swego byłego lenna. To właśnie w tym czasie Polska staje się powoli niemiecko-rosyjskim kondominium.

August III Sas, czyli triumf postpolityki

Ten stan zależności od potężniejszych sąsiadów pogłębia się za panowania kolejnego władcy z dynastii Wettynów: syna Augusta II Mocnego – Augusta III. Jak pisał Szymon Askenazy:

Trzeba wyznać, iż Rzeczpospolita niewiele zyskała na zamianie, kiedy po ojcu Sasie, oddała się synowi. W miejsce monarchy, który był wielkim zbrodniarzem stanu, otrzymała takiego, który był wielkim pasożytem stanu. W miejsce króla, który przemyślał nad jej zgubą, otrzymała takiego, który nic nie myślał.

Głównymi cechami charakteru nowego króla, które rozciągnęły się na styl jego panowania, były: gnuśność, bierność i brak jakiejkolwiek energii sprawczej. Przekładało się to na brak najmniejszych nawet prób reform. Choć państwo było niesprawne i na każdym kroku ujawniało swoją słabość, władza odmawiała nawet dyskusji o jego naprawie. Sławiono I RP jako ideał ustrojowy, a wśród nadwornych propagandystów dominowała ideologia bronięcia zdobyczy ustroju. *Aurea mediocritas* (złota przeciętność) – tak nazwą później ów ideał historycy.

Ogół szlachty zadowolony był jednak ze stanu państwa i traktował króla jak wielkiego męża stanu. Jędrzej Kitowicz pisał: „Nie miała Polska i nie będzie miała tak dobrego, tak wspaniałego i tak hojnego króla, jak miała Augusta III”, i dodawał, że władca ten jest „godzien wspomnienia słodkiego i pamięci nieśmiertelnej”.

Sam król *de facto* odmówił rządzenia krajem i rozwiązywania jego najpilniejszych problemów. Odkrywszy już w XVIII wieku przestrzeń „postpolityki”, w jeszcze większym stopniu niż jego ojciec zajął się – jak pisze historyk – „planowaniem łowów, parad, operowaniem widowisk”, zaś zadanie administrowania krajem powierzył swemu zaufanemu ministrowi Henrykowi von Brühlowi.

Wycofanie się władzy państwowej jako siły sprawczej oznaczało w praktyce rządy oligarchii. Jak zauważał Józef Feldman: „Epoka saska jest wiekiem typowego przerostu oligarchii. Kilkudziesięciu możnowładców – Sapiehowie, Ogińscy, Wiśniowieccy, Pocięjowie, Radziwiłłowie, Czartoryscy, Massalscy na Litwie, Potoccy, Lubomirscy,

Szembekowie, Jabłonowscy, Tarłowie, Rzewuscy, Braniczcy, Mniszchowie w Koronie – trzęsło krajem. Dzieje Rzeczypospolitej są w tym czasie w ogromnej mierze dziejami polityki rodów magnackich”.

Racja stanu Rzeczypospolitej ustępowała przed interesem rodziny, koterii i frakcji. Myślenie w kategoriach partyjnych dominowało nad interesem państwa i dobrem publicznym. Jak pisze Władysław Konopczyński: „Zagłuszała wszystko partyjność tępa, zaciętrzewiona, wyuzdana. (...) To, że w przejawach życia politycznego, było tak mało pierwiastka etycznego, że tak mało cnoty i rozumu żądano od przywódców, że się tak ślepo, nie pytając o zasady i programy, oddawano pod ich rozkazy – to już stanowiło smutny znak czasu i ponurą zapowiedź przyszłości”.

Oligarchizacja przenikała każdy wymiar życia, dotykając szczególnie mocno sądownictwa. „Prawo nie działało wtedy automatycznie, a sam wymiar sprawiedliwości był tylko jednym więcej ramieniem czy wspornikiem warstwy panującej politycznie”, pisał Paweł Jasienica. Sądy zapewniały bowiem bezkarność oligarchom, skazywały zaś nader chętnie tych, którzy ośmielili się krytykować ówczesne porządki. Wytworzyła się nietykalna kasta „świętych krów” epoki saskiej, którzy praktycznie pozostawali ponad prawem. „Władza państwowa Rzeczypospolitej za długo brała stronę wielkich przeciwko małym. I zbyt często dbała bardziej o własne doktryny i ambicje niż o kraj”, podsumowywał ten okres Jasienica.

Czasy saskie: upadek Wielkiej Narracji

Skąd się wzięła w szlachcie ta odmowa myślenia w kategoriach interesu Rzeczypospolitej? W kilkutomowej pracy zbiorowej *Polska, jej dzieje i kultura*, wydanej w okresie międzywojennym, ówcześni historycy wskazują jako istotną cezurę przełom XVII i XVIII wieku:

Spółeczeństwem znużonym i wyczerpanym owłada apatia, odrętwienie. Zamyka się ono we własnej wsi, we własnym domu, pragnie beztroski, myśli tylko o łatwym bogaceniu się. Szlachta usuwa się od spraw publicznych, pochłonięta troską o własny majątek. Z chwilą odsieczy Wiednia szlachta kończy swą rolę dziejową, przestaje być przedmurzem Europy, jakby się już przeżyła, wyczerpała. Chowa karabelę do pochwy, traci zapal do boju, okrywa się wygodnym płaszczem pacyfizmu....

Mówiąc językiem postmodernistycznym, upada wówczas Wielka Narracja, w której Polska jawi się *antemurale christianitatis*. Szlachta wyrzeka się misji *defensores fidei*. Uważa, że wielkie zadania dziejowe stojące przed Rzeczypospolitą się skończyły. Etos republikański zastąpiony zostaje przez kult prywatności. Następuje zmęczenie polsnością rozumianą jako zobowiązanie do ponoszenia wyrzeczeń dla ojczyzny. Wzorcem osobowym przestaje być waleczny rycerz i obrońca wiary, a staje się nim rubaszny kompan, dowcipny towarzysz zabaw i hulank. Braci szlacheckiej nie pociągają już opowieści o Janie Sobieskim, spędzającym wiele miesięcy w surowych warunkach obozowych i narażającym życie w walkach z wrogami ojczyzny, bardziej imponują im wyczyny Augusta II, który wjechał szóstką koni do podziemi ratusza w Norymberdze, zgasił z pistoletu świecę na drugim końcu sali i wyjechał stamtąd galopem.

Tę zmianę nastawienia polskiej szlachty widać wyraźnie, gdy porównuje się pamiętniki siedemnastowieczne z osiemnastowiecznymi. W XVII stuleciu obecna była (choćby w twórczości Jana Chryzostoma Paska) wyraźna pochwała dworku szlacheckiego jako ostoi polskości oraz sarmackiego stylu życia, lecz uzupełniona etosem służby publicznej, ożywiana duchem rycerskim i przepojona przekonaniem o misji, jaką Rzeczpospolita ma do spełnienia. W pamiętnikarstwie XVIII stulecia pozostaje co prawda zamiłowanie do swojskości, ale celebrowane już jako pusta forma, pozbawiona wyższych idei nadających jej sens. Teraz istotą życia stają się zabawa, wygoda i spokój. Parafrazując tytuł sztuki Sarah Kane, liczy się tylko *eating and drinking*. Widać to choćby w *Pamiętniku do historii polskiej* napisanej przez świadka tamtej epoki, Adama Moszczeńskiego: „Za panowania Augusta III kraj cały nie wytrzeźwiał jeszcze, rozpojony przez Augusta II; pijaństwo zrodziło pewnik: w winie leży prawda; kto zawodzi przy winie, zawodzi przy wszystkim”. Oto *signum temporis*: picie stało się miarą wszechrzeczy.

Wydawać by się mogło, że rezygnacja z wielkich misji dziejowych zaowocuje skupieniem się na pracy organicznej i wypracowaniem dobrobytu. Nic takiego jednak nie nastąpiło. Polska epoki saskiej nie stała się krajem bardziej rozwiniętym gospodarczo. Głównym źródłem przychodów dla państwa nadal pozostawał handel zbożem. O ile jednak w XVII wieku szlachta polska zasypywała zachodnie rynki swoją pszenicą i żytem, o tyle w następnym stuleciu obroty z tego tytułu znacznie się zmniejszyły. Jeszcze za panowania królów z dynastii Wazów Polska eksportowała poprzez Gdańsk 100 tysięcy łasztów zboża rocznie, w czasach saskich wywóz spadł do 30 tysięcy rocznie, a w okresie stanisławowskim wynosił już zaledwie kilka tysięcy.

Agentura wpływu wspiera mit o „końcu historii”

Kult prywatności wyrodził się w kult prywaty, co znakomicie wykorzystywały państwa ościenne. O ile we wspomnieniach spisanych przez samych Polaków dominuje sielski obraz życia w Rzeczypospolitej, o tyle relacje wysłanników pruskich lub rosyjskich odmalowują nasz kraj w zupełnie innych barwach. Carski poseł Grigorij Dołgoruki już w 1702 roku tak opisywał polską szlachtę: „działać jawnie dla ubóstwa sił i braku zgody nie śmia. Chcieliby sięść na koń, a nie mają strzemion, więc nie mogą się wdrapać. Jak bestie chodzą bez rozumu, nie wiedząc, co się z nimi stanie”.

Autor tych słów, pierwszy poseł rosyjski w Warszawie, był poprzednikiem i pierwowzorem dla późniejszych faktycznych carskich namiestników Rzeczypospolitej: Bestużewa, Kayserlinga, Repnina, Wołkońskiego, Salderna, Stackelberga, Bułhakowa, Sieversa i Ingelströma. Ich oficjalna funkcja ambasadora nie odpowiadała rzeczywistej roli, jaką pełnili w ówczesnej Rzeczypospolitej – jako formalnych nadzorców polityki polskiej.

To wówczas do naszego słownika weszło słowo „jurgielt”, pochodzące od niemieckiego *Jahrgeld*, czyli pensja roczna. Jurgielt był zinstytucjonalizowaną formą korupcji dostojników i Rzeczypospolitej przez państwa ościenne, zwłaszcza zaś przez Rosję i Prusy. Dość powiedzieć, że wypłacanie stałej pensji przez ambasadę rosyjską polskim i litewskim urzędnikom stało się jednym z nieformalnych fundamentów ustrojowych Rzeczypospolitej. Archiwum Ingelströma, zdobyte w 1794 roku przez powstańców kościuszkowskich po zajęciu

ambasady rosyjskiej, wykaże, iż na żołdzie carskim pozostawali najwyżsi dostojnicy państwa, łącznie z królem Stanisławem Augustem Poniatowskim i jego bratem – prymasem Michałem Jerzym Poniatowskim.

Podobnymi agentami w Polsce dysponowali również Prusacy. Stały fundusz korupcyjny pozwalał im na niszczenie w zarodku wszelkich planów naprawczych Rzeczypospolitej. Tak było choćby w 1744 roku, gdy przekupieni przez pruskich rezydentów Wallenrodta i Hoffmana posłowie polscy nie dopuścili podczas obrad sejmu grodzieńskiego do uchwalenia ustawy o stworzeniu licznego i nowoczesnego wojska.

Brak dostatecznej armii stanie się później jednym z czynników ułatwiających rozbiory. Rozległego kraju nie będzie miał kto bronić przed zaborcami. A jednak ten niedostatek siły militarnej nie był traktowany przez ówczesną szlachtę jako coś niepokojącego. To wówczas narodziło się powiedzenie: „Niech na całym świecie wojna, byle polska wieś spokojna”. Kryło się za nim uspokajające przekonanie, że świat w takiej formie, w jakiej istnieje dzisiaj, będzie trwał zawsze. To swoiste przeświadczenie o „końcu historii” sprzyjało geopolitycznej drzemce.

Sąsiedzi Rzeczypospolitej nie zamierzali jednak drzemać. Z korespondencji dyplomatycznej rosyjskich i pruskich rezydentów wynika, że starali się oni wygrywać na swoją korzyść wszelkie kłótnie i nieporozumienia między polskimi stronnictwami. Celowo podsycali wrogość między nimi, by stawać później w roli arbitrów. W ten sposób Dołgoruki stał się rozjemcą między Augustem II a konfederacją

tarnogrodzką, Kayserling między Augustem III a konfederacją dzikowską, a Sievers między Stanisławem Augustem a konfederacją targowicką.

Wywrotowa działalność ekspozytury rosyjskiej i pruskiej nie ograniczała się jedynie do sfery czysto politycznej. Starano się wspierać wszelkie zjawiska, które prowadziły do rozkładu społecznego, kulturalnego, moralnego i obyczajowego Rzeczypospolitej. Osłabiano zwłaszcza ducha patriotyzmu, promując postawy odwracania się od spraw publicznych. Agenci wpływu właczali w polskie umysły przekonanie o tym, że Polski nie stać na prowadzenie podmiotowej polityki na arenie międzynarodowej, a dobro kraju wymaga zestrojenia swoich interesów z interesami wielkich potęg. Przyszli zaborcy wykorzystywali stan apatii i bezideowości panujący wśród polskiej szlachty, dążąc do wyolbrzymienia tych (wyjątkowo korzystnych dla nich) tendencji.

Ta trwająca kilkadziesiąt lat polityka wewnętrznego rozkładu Rzeczypospolitej okazała się na tyle skuteczna, że trzy rozbiory kraju dokonały się właściwie bez większego oporu – nie licząc powstania kościuszkowskiego, które z powodu szczupłości sił nie miało szans na powodzenie. Mało tego: rozbiory Rzeczypospolitej zostały zaakceptowane niemal jednomyślnie przez samych reprezentantów narodu. O ile przeciwko pierwszemu rozbiorowi protestowało zaledwie trzech posłów: Tadeusz Reytan, Samuel Korsak i Stanisław Bohuszewicz, o tyle podczas obrad ostatniego sejmiku I Rzeczypospolitej nie znalazł się ani jeden poseł, który sprzeciwiłby się likwidacji swojej ojczyzny.

Cała niemal elita kraju zatraciła kompas moralny i instynkt państwowy. Bez długotrwałej agenturalnej pracy Rosjan i Niemców osiągnięcie takiego efektu byłoby niemożliwe.

Opozycja, czyli warchoły i oszołomy

Czy dla ówczesnego systemu istniała jakaś alternatywa? Każda próba naprawy Rzeczypospolitej siłą rzeczy musiała mieć charakter antysaski. Żaden projekt nie miał jednak należytej siły przebicia, gdyż spotykał się z niezrozumieniem ogółu szlachty. Ludzi, którzy mówili, że Polska staje się niemiecko-rosyjskim kondominium, traktowano jak oszołomów. Apele tych, którzy wzywali do reformy niesprawnego państwa, jak np. Jana Stanisława Jabłonowskiego czy Stefana Garczyńskiego, były ignorowane, zbywane milczeniem lub lekceważeniem. Głos największej umysłowości tamtych czasów, Stanisława Konarskiego, pozostawał wołaniem na puszczy.

Politycznie jedyną alternatywę dla władców saskich mógł stworzyć Stanisław Leszczyński, który dwukrotnie przez krótki czas był nawet królem Polski. Nosił się on z zamiarem gruntownej naprawy Rzeczypospolitej, czego wyrazem była napisana przez niego praca *Głos wolny wolność ubezpieczający*, w której postulował m.in. wzmocnienie władzy centralnej, zniesienie poddaństwa chłopów, zwiększenie siły obronnej kraju czy ograniczenie *liberum veto*. O tym, że Leszczyński mógłby być dobrym władcą Polski, przekonuje przykład Księstwa Lotaryngii, w którym panował on w latach 1738-1766. Zapisał się w historii jako jeden z najwybitniejszych władców tego państwa, nazywany przez dziejopisów „królem-dobrodziejem”.

Nie dane mu było jednak nigdy zrealizować swoich planów w Polsce. Reformy proponowane przez Leszczyńskiego naruszałyby bowiem zbyt wiele interesów wpływowych grup oligarchicznych w kraju. Dlatego mobilizowały przeciw niemu opór magnaterii. Jego samego przedstawiały zaś jako człowieka, który chce podpalić kraj i pchnąć Rzeczpospolitą do wojny z Rosją. Trzeba przyznać, że Stanisław Leszczyński miał wyjątkowo duży elektorat negatywny wśród szlachty, co wynikało z przyczyn obiektywnych: nie potrafiono wybaczyć mu bowiem koalicji z królem szwedzkim Karolem XII oraz okoliczności, w jakich w 1705 roku został koronowany.

Czy jakaś alternatywa mogła wyjść wobec tego z łona Kościoła? Jak pisał w swym dziele *Źródło rozbioru Polski* Kazimierz Marian Morawski:

w narodach katolickich naród okazuje się zazwyczaj tyle wart, ile wart jest jego episkopat, którego przecież starożytna nazwa grecka mówi o zadaniach czuwania, nadzorowania nad społeczeństwem.

Trzeba powiedzieć, że episkopat polski w tym czasie nie wydał wielkiego przywódcy na miarę takich postaci, jak niegdyś kardynałowie Zbigniew Oleśnicki, Mikołaj Trąba czy Stanisław Hozjusz. Biskupi nie mówili w sprawach publicznych jednym głosem, lecz opowiadali się za różnymi partiami magnatów. Nie potępiali niemoralnych praktyk politycznych, lecz nawet w nich uczestniczyli. Szymon Askenazy pisał np. o prymasie Janie Lipskim: „człowiek małego serca, równie małej świętobliwości (...) bez żadnych podstaw moralnych, intrygant, karciarz i smakosz, który bawiąc się, robiąc politykę, robiąc przede wszystkim

własną karierę (...) dawał gorszący przykład nieposzanowania dla wysokiej godności Księcia Kościoła i podniosłych obowiązków duszpasterza”. Podobnych przypadków wśród wyższego duchowieństwa było w czasach saskich znacznie więcej.

Niemal sto lat później, oceniając postawę hierarchów katolickich w XVIII wieku, biskup Ludwik Łętowski napisze, że na ścianie widniał już napis *mane, tekel, fares*, lecz polscy purpuraci nie potrafili go dostrzec lub odczytać. Trudno jednak winić o ślepotę polityczną jedynie biskupów. Gdybyśmy skonstruowali wehikuł czasu, przenieśli się do czasów saskich i usiłowali przekonać ówczesnych mieszkańców Rzeczypospolitej, że żyją w najbardziej haniebnym okresie dziejów Polski, a ich kraj czeka wkrótce zagłada – najprawdopodobniej uznaliby nas za wariatów lub szarlatanów. Przecież nigdy nie było tak dobrze jak teraz...

O tym, że takie zaćmienie zbiorowe jest możliwe w każdym czasie, starał się przestrzec swoich rodaków Jan Paweł II. Podczas pierwszej pielgrzymki do Polski po obaleniu komunizmu w 1991 roku papież przedstawił projekt zagospodarowania świeżo odzyskanej wolności. Proponował budowanie polskiej państwowości na fundamencie Dekalogu, a zarazem przestrzegał przed złym wykorzystaniem wolności. W tym kontekście widział wyraźnie niebezpieczeństwo recydywy saskiej. Podczas Mszy beatyfikacyjnej bł. Rafała Chylińskiego, franciszkanina żyjącego w XVIII wieku, mówił w Warszawie:

Trzeba nam na tym miejscu rozpamiętywać wielkość woli, ale także i jej małość, samolubstwo i interesowność, sprzedajność wreszcie i podeptanie wspólnej sprawy.

W ten sposób nawiązał do czasów, w których żył błogosławiony, podkreślając, że „były to smutne czasy, nie tylko z punktu widzenia historii politycznej I Rzeczypospolitej, ale także z punktu widzenia moralności społecznej. Już nie będę przytaczał tych przysłów, jakie o tamtych czasach krążą do dzisiaj. Były to smutne czasy, były to czasy jakiegoś zadufania w sobie, bezmyślności, konsumizmu rozpanoszonego wśród jednej warstwy”.

W tym roku minęło właśnie dwadzieścia lat od tamtej przestrogi ogłoszonej przez Jana Pawła II. Czy jego niepokój wydawał się uzasadniony?

Grzegorz Górny

Przeczytaj także

Marek A. Cichocki o analogiach historycznych

Dariusz Gawin o 1709 roku

Mateusz Matyszkowicz o Stanisławie Augustie